

# H.P. Lovecraft

RZECZ W ŚWIETLE KSIĘŻYCA





H.P. LOVECRAFT

RZECZ W ŚWIETLE KSIĘŻYCA

(THE THING IN THE MOONLIGHT)





J. COVATTA/45P. 2011

# RZECZ W ŚWIETLE KSIĘŻYCA

**M**organ nie jest wykształconym człowiekiem. W istocie nawet nie potrafi mówić po angielsku w spójny sposób. To właśnie sprawiło, że począłem zastanawiać się nad słowami, które napisał, choć inni się z nich śmieli.

Był sam tego wieczoru, gdy to się wydarzyło. Opanowała go nagle niezwykła potrzeba pisania i wzięwszy do ręki pióro, nakreślił co następuje:

"Nazywam się Howard Phillips. Mieszkam przy College Street 66, w Providence, Rhode Island. Dwudziestego czwartego listopada 1927 roku – teraz nie wiem nawet jaki jest rok – zasnąłem i śniłem.

I nie byłem w stanie się obudzić.

Mój sen rozpoczął się na wilgotnym, porośniętym trzcinami bagnie, pod szarym, jesiennym niebem. Na północy wznosiło się urwisko z inkrustowanych porostami kamieni. Gnany jakimś tajemniczym poszukiwaniem, wszedłem na szczyt czy też grzbiet tego porośniętego krzakami wzniesienia, znaczonego czarnymi paszczami jaskiń otwierających się po obu stronach w głębi kamiennego płaskowyzu.

W niektórych miejscach, w górnej części wąskiej rozpadliny, przejście było osłonięte przez występy. Miejsca te były krańcowo ciemne i nieprzeniknione dla wzroku z powodu porastających je krzaków. W jednym z nich poczułem szczególne dotknięcie strachu, jakby jakieś subtelne i bezcielesne emanacje z otchłani ogarnęły mą duszę, lecz ciemność była zbyt wielka, bym mógł dostrzec źródło mego niepokoju.

W końcu wyostałem się na równinę zarzuconą omszałymi głazami, ze skąpą glebą oświetlaną delikatnym światłem księżyca, które zastąpiło wyczerpane już światło dnia. Rzuciwszy wokół siebie okiem nie zauważyłem żadnej żywej istoty. Czułem jednak bardzo szczególny ruch głęboko pod mną, wśród szeleszczących trzcin nawiedzonych bagien, z których ostatnio wyszedłem.

Po przejściu pewnej odległości, dotarłem do zardzewiałych szyn linii tramwajowej i do zżartych przez robactwo słupów, nadal podtrzymujących obwisłe i wypaczone druty trakcji. Idąc za tą linią natknąłem się wkrótce na żółty pojazd o numerze 1852, z dwiema platformami, popularny w latach 1900 –1910. Nie było w nim nikogo, jednak był w sposób oczywisty gotowy do podróży. Odbieraki były na drutach, a powietrzny hamulec od czasu do czasu dudnił pod podłogą. Wszedłem do niego i na próżno rozglądałem się za wyłącznikiem. Nie było też dźwigni prowadzącej, co mogło świadczyć o chwilowej nieobecności motorniczego. Usiadłem na jednym z siedzeń. Słyszałem szelest rzadko rosnącej trawy po lewej stronie i dostrzegłem ciemne postacie dwóch mężczyzn, wynurzające się w świetle księżyca. Mieli charakterystyczne czapeczki towarzystwa tramwajowego i nie wątpiłem, że to konduktor i motorniczy. Nagle jeden z nich pociągnął nosem ze szczególną ostrością i podniósł twarz, aby zawyć do księżyca. Drugi opadł na czworaki i pobiegł w stronę pojazdu.

Zareagowałem natychmiast i wybiegłem z tramwaju. Biegłem aż do utraty tchu – nie dlatego, że konduktor opadł na czworaki, ale dlatego, że twarz motorniczego była zaledwie białym stożkiem, z którego wyrastały krwistoczerwone wyrostki...

Jestem świadom tego, że to tylko sen, lecz jawa nie jest przyjemniejsza. Od tej przerażającej nocy modlę się tylko o przebudzenie, które jednak nie następuje.

Zamiast tego stwierdzam, że jestem mieszkańcem tego przerażającego, sennego świata. Pierwsza noc ustąpiła miejsca świtowi, a ja wędrowałem bez celu po samotnych, bagnistych krainach. Z nastaniem kolejnej nocy, nadal wędrowałem mając nadzieję na to, że się przebudzę. Lecz nagle, gdy rozchyliłem chwasty, zobaczyłem przed sobą prastary tramwaj, a obok niego to coś o stożkowatej twarzy podnoszące głowę w dziwnych promieniach księżyca.

Powtarzało się to codziennie. Noc przenosiła mnie zawsze do tego przerażającego miejsca. Próbowałem pozostawać w bezruchu, gdy zapadał zmrok, lecz musiałem wędrować w mych snach, gdyż zawsze budziłem się widząc tę rzecz, wyjąca przede mną w bladym świetle księżyca. Odwracałem się wtedy i uciekałem jak szalony.

Boże! Kiedy się wreszcie obudzę?"

To napisał Morgan. Udam się na College Street numer 66 w Providence, lecz obawiam się tego, co mógłbym tam zastać.